

KOREAŃSKIE DZIECI W PŁAKOWICACH

Książka jest efektem kilkuletnich upartych poszukiwań śladów zjawiska, które od początku było utajnione, a potem, kiedy już tajemnica przestała obowiązywać – zapomniane. Składa się z dwóch części: pierwszej krótszej, poświęconej w całości historii jednej z wychowanek, 13-letniej Kim-Ki-Dok, która długo i boleśnie umierała na egzotyczną chorobę, prawdopodobnie wrodzoną, z którą nasi medycy sobie nie poradzili, mimo głębokiego uczuciowego zaangażowania, szczególnie lekarza zajmującego się przetaczaniem krwi. Przy okazji poznajemy wrocławskie środowisko lekarskie i wspaniałą rolę, jaką w nim odgrywali profesorstwo Hanna i Ludwik Hirszfelldowie, początki krwiodawstwa, nieznanne dziś praktyki przetaczania krwi bezpośrednio od dawcy do biorcy...

Druga część książki to chronologiczny opis przyjęcia, adaptowania do naszych warunków, wychowywania i w końcu powrotu do ojczyzny dzieci i młodzieży koreańskiej. Trudno nam dziś zrozumieć, czemu cała ta akcja była ściśle tajna, ale takie były to czasy. W roku 1953 zakończyła się wojna koreańska i 1270 sierot wysłano do Płakowic. To była forma bratniej pomocy Polski, państwa o tym samym ustroju. Dla koreańskich sierot wyznaczono ten ośrodek, historyczny pałac i zamek z towarzyszącymi budynkami, zajmowany od pewnego czasu przez uchodźców greckich (macedońskich?), którzy jako komuniści musieli uciekać przed „czarnymi pułkownikami”, gdy oni przejęli władzę w ich kraju. Grecy mieli dość czasu, by w polskich warunkach się rozejrzeć i adaptować, więc musieli już Płakowice opuścić. Ośrodek był przez nich zniszczony i przed przyjęciem Koreańczyków został doprowadzony do ładu. Zaangażowany politycznie, ale i rzetelny gospodarz, mianowany na dyrektora Marian Biliński przyjmował do pracy młodych, sprawnych ludzi, którym mógł oferować wysoką płacę i mieszkania. Takich warunków pracy i płacy w tym czasie nigdzie w Polsce nie było, toteż kadra pilnowała roboty jak należy. A była to duża grupa pracowników, bo ok. 600 osób.

Dzieci przyjechały pociągiem na stację w Płakowicach w stanie fatalnym. Były straszliwie brudne, zabiedzone i słabe. Przy wysiadaniu z pociągu masowo mdlały. Zaczęło się od kąpieli, palenia całej odzieży pełnej insektów, odrobaczania. Panował wśród nich wojskowy dryl i bezwzględne posłuszeństwo kilku koreańskim wychowawcom, którzy z nimi przybyli. Stan ten był utrzymywany niemal przez cały okres pobytu poprzez codzienne apele, gdzie wzmacniano wojskową dyscyplinę, czołobitność wobec przywódcy kraju Kim Ir Sena, a nienawiść przeciwnika politycznego Li Syn Mana. Wychowawcy koreańscy pilnowali, by dzieci nie miały kontaktów z Polakami poza ośrodkiem (nawet filmy w kinie wyświetlane były na specjalnych seansach), nie pozwalali na rozpieszczanie przez polskich wychowawców, na mieszanie się płci (brat z siostrą musieli być osobno), wychowanie miało być surowe, twarde. I takie było – dzieci nie okazywały bólu ani strachu. Pod koniec pobytu dzieci koreańskich w Płakowicach odwiedził je ambasador Korei w Polsce. Okazało się, że wśród wychowanków był jego wnuk. Spotkanie z dziadkiem było krótkie, chłodne, zasadnicze, męski uścisk dłoni... Wychowawcy koreańscy to była grupa oddanych aparatczyków partyjnych, których głównym zadaniem była troska o utrzymanie w dzieciach komunistycznej świadomości koreańskiej.

Inwigilacja życia dzieci i kadry była zresztą nie tylko koreańska. Równolegle działały polskie tajne służby, na każdym kroku kontrolując polską administrację i wychowawców. Chorej dziewczynki koreańskiej we wrocławskim szpitalu pilnowała kobieta, leżąca jako pacjentka na tej samej sali. Prowadziła dokładne notatki o wszelkich wydarzeniach związanych z leczeniem koreańskiego dziecka.

Młoda polska kadra miała w ośrodku sporą swobodę. Zawięzało się wiele par małżeńskich, zawierano śluby, tylko cywilne, do kościoła nikt nie chodził. Zdarzyła się także para mieszana, ale natychmiast po zawarciu ślubu, mimo że kobieta była w ciąży, mimo rozpaczy obojga, Koreańczyk został odesłany do kraju.

Troska i staranność polskich wychowawców przyniosła szybko znakomite wyniki. Dzieci były zadbane, radosne, dobrze zorganizowane, pilnie i chętnie się uczyły. Dużą rolę odgrywały harcerskie metody wychowania. W głębi jednak pozostała w nich ciągła tęsknota za najbliższymi, których utracili. Podczas pobytu niewielkiej grupy dzieci w Świdrze pod Warszawą, gdzie przebywało 200 innych sierot koreańskich, rozmowy obracały się przede wszystkim koło poszukiwań wiadomości o członkach własnych rodzin.

Polscy opiekunowie dzieci koreańskich zauważyli w nich pewne głęboko zakorzenione cechy, wobec których czuli się bezradni. Taką była bezwzględna podległość dziewczynek wobec chłopców. W tej kulturze chłopcy byli stawiani wyżej, dziewczynki starały się do nich upodobnić, choćby strojem. Mógł to oczywiście być syndrom potrzeb czasu wojny.

Polские niepokoje polityczne roku 1956 spowodowały, że dyrektorowi ośrodka otwarły się oczy na kompromitację idei komunistycznej. Rozczarowany rzucił legitymację partyjną, co natychmiast skutkowało usunięciem go ze stanowiska i wydaleniem z Płakowic. Już wcześniej pił, co nie przeszkadzało mu w doskonałym prowadzeniu ośrodka. Teraz popadł w alkoholizm. Po nim było jeszcze kilku dyrektorów, wyraźnie słabszych, którzy pozwolili na rozprężenie i obniżenie poziomu pracy ośrodka. Nigdy nie było konfliktów z miejscowymi Polakami, teraz zaczęły występować.

W roku 1958 pierwsza grupa najstarszej młodzieży wyjechała do Korei. Pisali po polsku listy o tęsknocie za swoimi wychowawcami (nazywając ich „mama”, „tata”, „papa”) i samotności. Wielu z nich w ostatnim okresie już praktykowało w jakichś zawodach, które tam w swojej ojczyźnie podejmowali lub kierowani byli do innych prac.

Potem była jeszcze jedna grupa – tych najstarszych – a latem 1958 r. przyszło polecenie likwidacji ośrodka i wyjazdu wszystkich dzieci. Każde otrzymało nową walizkę, w której żelazny zestaw obuwia, odzieży i drobiazgów samemu wybranych. Rozstanie wielu wychowanków (szczególnie dziewcząt) z polskimi wychowawcami było bolesne. Z Warszawy specjalne samoloty przeniosły dzieci do Korei. Długo pisały jeszcze listy do polskich wychowawców, ale z czasem coraz mniej, aż do zaniku. Donosiły o biedzie, głodzie i tęsknocie za pięknym czasem Płakowic, który był w ich życiu jak bajeczny sen.

W Płakowicach pojawiły się dzieci z chorobą Heinego-Medina, których w tym czasie było w Polsce dużo i należało je jakoś przygotować do życia. Wychowawcy ośrodka koreańskiego rozprzeczli się po całym kraju.

Poszukując pożytków, jakie wynikły z pobytu sierot koreańskich z dalekiej Azji w Polsce, należałoby przeprowadzić wśród nich jakieś badania, głównie ich dalszych losów, co jest oczywiście niemożliwe. Uwaga, staranność i uczucia polskich wychowawców, jakiego tu doznały z pewnością procentowały w ich życiu. Ale z drugiej strony surowość tamtejszych warunków życia z pewnością w jaskrawy sposób odbijała od izolowanej i chronionej codzienności w polskim ośrodku w Płakowicach.

ROMUALD WITCZAK

JOLANTA KRYSOWATA: SKRZYDŁO ANIOŁA. HISTORIA TAJNEGO OŚRODKA KOREAŃSKICH SIEROT. ŚWIAT KSIĄŻKI, WARSZAWA 2013, SS. 270.